

Georg Groddeck: Ono i psychoanaliza¹

Podczas ostatniego spotkania w moim domu poproszono mnie, bym opowiedział o wrażeniach z tegorocznego Kongresu Psychoanalitycznego w Homburgu. Ponieważ w Homburgu byłem zaledwie dziewięć godzin, z tego zaś tylko pięć spędziłem w sali kongresowej, wiele powiedzieć nie potrafię. Poza moimi osobistymi przeżyciami, do których zaraz dojdę, zostało mi w pamięci jedynie kilka szczegółów, które chętnie poddam pod rozważę i dyskusję. Wspomnieć tu trzeba nade wszystko o wielkiej masie tego, co zaoferowano. Żywię przekonanie, że posiadam mózg dość chłonny, a w każdym razie nie odbiegający pod tym względem daleko od przeciętnej, ale dłużej niż dwie, najwyżej trzy godziny dziennie nie potrafię przysłuchiwać się z uwagą uczonym rozprawom. Gdybym to ja mógł decydować, na Kongres przeznaczyłbym pełne osiem dni i każdego pozwolił przemawiać tylko dwóm uczestnikom: jednemu przed południem – o jakiejś porze nienaruszającej godności człowieka, na przykład od godziny 10.30 do 12, drugiemu po południu – od 16.30 do 18. Nikt nie zdoła w ciągu pół godziny wyłożyć mądrości gromadzonej przez dwa lata, nie popadając w pośpiech iście biegunkowy albo nie dokonując takiej kondensacji swojej wypowiedzi, że słuchacz musi – niczym podczas objaśniania marzeń sennych – odgadywać jej sens. Rozpocząłbym w sobotę wieczorem uroczystością powitalną, w trakcie której za jednym zamachem można by wygłosić wszystkie przemówienia formalne, od niedzielnego przedpołudnia zaś, bez żadnych dalszych wstępów, prezentowano by dwanaście wykładów, a w następną sobotę rano przewodniczący podsumowywałby to, o czym była mowa, i to w taki sposób, że zawartość wykładów angielskich streszczałby w języku niemieckim, niemieckich z kolei w angielskim; nonsensem jest zakładać, że uczestnicy Kongresu władają obu tymi językami – oczywiście mógłby przy tym korzystać z zastępstwa w języku mu obcym. Materiału winni by mu dostarczyć sami mówcy w postaci krótkich autoreferatów, a jego zadaniem – i to doprawdy zadaniem niełatwym – byłoby naszkicowanie wyrazistego obrazu tego, co się działo, by każdy wiedział: takie to a takie

¹ Przekład za: G. Groddeck, *Das Es und die Psychoanalyse*, „Arche” 1925, nr 10, w: idem, *Werke. Die Arche. Band 1*, hrsg. von Otto Jägersberg, Stroemfeld Verlag, Frankfurt am Main 2001, s. 1–15.

wrażenia wywołał Kongres w człowieku, któremu podczas ubiegłorocznych wyborów przewodniczącego wystawiłem moim głosem świadectwo szczególnej czcigodności i mądrości. Zaraz potem przeprowadzano by wybory nowego przewodniczącego. Na tym kończyłaby się część naukowa Kongresu, po której wieczorem odbywałby się wspólny bankiet pożegnalny. Każdy uczestnik pozostawałby tak długo, jak długo miałby na to ochotę i czas – nie jest rzeczą konieczną sondowanie głębi mądrości po samo dno. Wymagałbym, by wszystkie wykłady wygłaszano z pamięci – kto tego nie potrafi, ten nie opanował dostatecznie swojego tematu – wtedy winien odczekać rok, aż dobrze będzie wiedział, co chce powiedzieć – albo boi się, że zostanie wyśmiany, a wówczas nie powinien się pojawiać na forum słuchających uważnie psychoanalityków, od których oczekuje się wszak cierpliwości i których śmiech – przynajmniej w teorii – nie może być śmiechem złośliwym. Kongresy zwoływałbym co rok, zawsze o tym samym czasie i w tym miejscu: do istoty psychoanalizy należy, że najlepiej rozwija się tam, gdzie czuje się jak w domu – zmiana miejsca i czasu z góry już niesie ze sobą niepokój, podczas gdy w otoczeniu znanym uczucie spójności i więzi wytworza się niejako samo z siebie. Na koniec: zakazałbym palenia w trakcie posiedzeń. Sądzę, że w namiętności do tytoniu mógłbym zmierzyć się z każdym, nawet z kimś, u kogo namiętność ta osiągnęła poziom Freudowski. Mimo to zdołałbym przez osiem dni wytrzymać dwa razy dziennie po półtorej godziny bez cygara czy papierosa.

Podczas ostatniego Kongresu coś jeszcze rzuciło mi się w oczy albo raczej utwierdziłem się w Homburgu w przekonaniu, którego nabrałem już przy sposobności spotkań haskiego i berlińskiego: uczestnicy Kongresu zachowują się tak, jak gdyby nie wiedzieli, że także poza międzynarodowym Towarzystwem nie brak psychoanalityków zdolnych, dobrze wykształconych czy wręcz wybitnych. W każdym z wykładów, które miałem przyjemność wysłuchać, mowa była o „dzikiej” analizie. Nie przeczę, że istnieje coś takiego, co można by tym mianem określić, ale kto siedzi w szklanym domu, niech nie rzuca kamieniami. O ile wiem, żaden z czołowych psychoanalityków nie jest wykształcony w takim sensie, by mógł sam sobie wydawać się kimś innym niż tylko analitykiem „dzikim”. Wchodzące teraz w modę uczenie się psychoanalizy to zjawisko całkiem nowej daty. Być może moda ta jest użyteczna – nie mam żadnych w tej mierze doświadczeń – a wypada mieć nadzieję, że użyteczna stanie się z czasem, ale już dzisiaj, kiedy to ledwie narodzone dziecko spoczywa jeszcze w pieluszkach, jest rzeczą niestosowną podawanie własnych, byle jak nasmarowanych landszafcików za arcydzieła i ogłaszanie prac innych dzieci niedozwoloną fuszerką. Psychoanaliza to sprawa całego świata; chęć wciśnięcia jej w ciasny gorset Towarzystwa jest zuchwaltstwem, które się zemści, albowiem za górami również mieszkają ludzie i nie ulega wątpliwości, że za parę lat wiele z tego, co teraz uchodzi za mądrość, uzna się za głupstwo. Gdybym nie miał w sobie tego przekonania, zwątpiłbym w wartość samej rzeczy, albowiem coś, co z góry już jest słuszne, a przede wszystkim

za słuszne jest uważane, nie może być wiele warte. Jeśli Towarzystwo Psychoanalityczne chce zachować swoje znaczenie albo – jak należałoby raczej powiedzieć dziś – jeśli chce je odzyskać, winno zrezygnować z ustanawiania dogmatów wedle manieri soboru trydenckiego czy *Wyznania augsburskiego*, zaprzestać gderliwego krytykanctwa i odgrywania komisji egzaminacyjnej, a musi sobie przypomnieć, że ma zadanie wyższe, a mianowicie zadanie prowadzenia badań, zasiewania wątpliwości, a potem znów prowadzenia badań. To, że wybiera swoich członków, jest jej dobrym prawem, to wszakże, iż wydaje się sama sobie jedynym Kościołem zapewniającym zbawienie, jest co najmniej nieostrożne. Popołnia przez to ten sam błąd, który popełniają również lekarze, gdy wszystkich nieposiadających państwowej pieczętki ogłaszają szarlatanami. Lekarzem jest ten, kto lekarzem się czuje i przez chorych jako lekarz jest postrzegany, analitykiem zaś ten, kto czuje, że wie, co to opór i przeniesienie, kto potrafi je leczyć i do kogo przychodzą ludzie, by analizował i leczył ich opory i przeniesienia – nie ma to żadnego związku z przynależnością do Towarzystwa Psychoanalitycznego. A jeśli Towarzystwo, którego twórca i duchowy przywódca nigdy nie został poddany analizie i które zrzesza w pierwszym rządzie ludzi takich jak Sachs, Pfister, Rank, twierdzi, że pożądane jest, by tylko zaaprobowani przez nie lekarze i lekarze poddani analizie mogli nazywać się psychoanalitykami, by zaś wszyscy inni zostali uznani za analityków „dzikich”, inaczej mówiąc: by przyjęto, że uzurpują sobie to określenie bezprawnie, to kpi z samego siebie.

Teraz czas już chyba na mój wykład, ale wcześniej wypada powiedzieć jeszcze dwa słowa o jego przyjęciu. W nie najlepszym nastroju mówiłem wiele rzeczy, których powiedzieć wcale nie chciałem. Jednak gdy opuściłem podium, serdeczne gratulacje złożyło mi dwóch panów, zapewniając mnie, że choć nie są psychoanalitykami, niezmiernie spodobało im się to, co powiedziałem, a jeden z nich wręcz posunął się do stwierdzenia, że mój wykład był jedynym zasługującym na określenie „naukowy”. Już niemal tryumfowałem, gdy dodał: „Może nie był «naukowy» we właściwym tego słowa sensie, ale jednak poruszał się przynajmniej w obszarze, który można by nazwać «filozofią natury»”. Gdy okazało się, że jest posiadającym wszystkie stosowne uprawnienia psychologiem, uspokoiłem się i z napięciem czekałem na komplement drugiego, występującego w barwach zoologii, w nadziei, że usłyszę coś na temat mojego rozumienia duszy zwierzęcej, nawet jeśli wiedza o Ono jest mało przydatna dla zoologii ścisłej. On jednak nie powiedział nic, a ja byłem zadowolony, że zagadnął mnie jakiś Amerykanin, który wyłożył mi pokrótce, jak bardzo się cieszy, widząc tak szerokie rozpowszechnienie swoich idei w Europie. Wkrótce zastąpiły go dwie Angielki, zapewniające mnie z entuzjazmem, że mówiłem wspaniale, tyle że niestety, z powodu słabej znajomości języka niemieckiego, nie zrozumiały prawie nic. Podszedł do mnie następnie pewien dobry przyjaciel i powiedział: „Przy stole przydzielonym miny były bardzo poważne”. Wreszcie trafiłem na prawdziwego analityka, który mnie pouczył, że forma wykładu bardzo mu się podobała,

ale jego treści nie można uznać za zadowalającą. Miałem dość i próbowałem zjeść gdzieś obiad, jednak w garderobie dostąpiłem pouczenia, że uczyniłbym lepiej, gdybym zamiast o Ono mówił o Bogu, w jadalni zaś pogratulowano mi przejścia na fakultet teologiczny. Zachwiało to moim przekonaniem, że cokolwiek rozumem z psychoanalizy, tak że mimo konieczności szybkiego powrotu do Baden-Baden zdecydowałem się wypróbować moje psychoanalityczne kompetencje, przysłuchując się dwóm wykładom popołudniowym, w których miały się zaprodukować dwie szczególne sławy naszego cechu. Dość przygnębiony opuściłem salę kongresową, albowiem rzeczywiście niewiele zrozumiałem z tego, co głosili obaj panowie, budząc powszechne zainteresowanie. Szczęście mi jednak sprzyjało albo może raczej: dobry Bóg zechciał mi wynagrodzić moje niezamierzone wsparcie dla jego władzy nad światem, krótko mówiąc, podczas podróży do Frankfurtu spotkałem starego znajomego, który zakomunikował mi, że Kościół katolicki zajął się doktryną psychoanalityczną, co roku zleca fachowcom gruntowne wykształcenie kilku jezuitów i benedyktynów, i prawdopodobnie wprowadzi ruch psychoanalityczny dłonią łagodną, acz pewną na łono jedyne Kościoła zapewniającego zbawienie. Przyniosło mi to niejaką pociechę.

A oto, co chciałem powiedzieć na Kongresie, czego jednak nie powiedziałem.

Panie i Panowie,

nie jest rzeczą przyjętą rozpoczynanie wykładu wygłaszanego w kręgu poważnych badaczy i mającego ambicje naukowe od *captatio benevolentiae*. Mimo to chciałbym Państwa prosić, by przez te pół godziny, kiedy będę do Państwa mówił, odsunęli Państwo od siebie wszelką skłonność do krytyki naukowej, zapomnieli, że są Państwo psychoanalitykami i pozwolili oddziaływać na siebie moim słowom całkiem po prostu i bez jakichkolwiek uprzedzeń, tak jak gdyby nie mieli Państwo żadnej wiedzy w przedmiocie, o którym mowa. Tylko wtedy to, co mam do powiedzenia, przyniesie pożytek. A Państwa krytyka, gdy skończę mówić, zdoła jeszcze na czas oddzielić to, co użyteczne, od tego, co użyteczne nie jest.

Wszelka obserwacja, zwłaszcza obserwacja naukowa, to gwałt na prawdzie. By coś zaobserwować, należy to coś wyrwać z kontekstu wszechświata, trzeba ten kontekst wyprzeć. Myślenie i mówienie o pojedynczych przedmiotach albo o określonych obszarach zakłada pewną fikcję, zgodnie z którą istnieją pojedyncze przedmioty poza wspólnym wszechświatem, a odgraniczenie tego czy innego obszaru częściowego jest rzeczywiście wykonalne. Bez takiego z całą pewnością fałszywego sposobu myślenia ludzkie istnienie i życie nie jest możliwe, nie ma bez niego komunikacji ani porozumienia między człowiekiem a człowiekiem. Decydującą różnicę między myśleniem naukowym a potocznym stanowi to, że na użytek codzienny prawda wszechświata i kłamstwo części jako czegoś samodzielnego pozostaje w nieświadomości, podczas gdy dociekania naukowe są tej fikcji świadome – z ich perspektywy jedno jest wszystkim, a wszystko

jednym. Ale ponieważ w praktyce ta odwieczna prawda uniemożliwia wszelkie działanie, musimy dokonywać podziałów i wyznaczać sztuczne granice.

I tak u zarania wszelkiej nauki oddzielamy ożywione od nieożywionego, całym dowolnie, ponieważ nikt nie wie, gdzie zaczyna się ożywione i gdzie nieożywione kończy. Równie dowolnie dzielimy świat roślin i zwierząt, a ze świata zwierząt wyodrębniamy rodzaj ludzki, konstruujemy rasy, narody, rodziny czy wreszcie jednostki, pojedynczych ludzi, a wszystko arbitralnie i wbrew naszej wiedzy. Nikt jeszcze nie zdołał stwierdzić, kiedy ów założony pojedynczy człowiek zaczyna swoje istnienie: w momencie narodzin, uzyskania zdolności do życia, poczęcia, w jajniku i jądrach rodziców albo przodków czy kiedykolwiek indziej. Jeśli chcemy zachować dokładność, musimy powiedzieć: żyliśmy już w czasach Adama i Ewy, w pierwszej żywej istocie, w najdrobniejszych beczasowych atomach Kosmosu.

Ale gdzieś trzeba wyznaczyć granicę, ustanowić początek pojedynczego człowieka, a ja na praktyczne potrzeby uprawianej przez siebie nauki początek ów wyznaczam w miejscu, w którym łączą się jajo i plemnik. Początkiem człowieka, przedmiotu moich badań, jest zapłodnienie. To zaś, co wówczas powstaje, nazywam Ono człowieka. Ma to oznaczać Nieokreślone, Nieokreślalne tej istoty, cud.

Cudów dokonuje Ono od pierwszych chwil swojego istnienia. Wykonuje złożone chemiczne i fizyczne operacje o rozumnym charakterze, ukierunkowane z całą pewnością ruchy i przeprowadza podziały, przesuwając jeden atom tu, drugi zaś gdzie indziej, zawsze sensownie i z rozmysłem, wśród takiego mnóstwa krzyżujących się, a przecież celowych procesów, że nauka od pokoleń przygląda się im i na nich eksperymentuje, nie mogąc dojść do końca i codziennie dokonując odkryć nowych a zdumiewających. Ono czyni to wszystko ze zdumiewającą lekkością, samo z siebie i pewnie. Zna dokładnie to wszystko, czego nasz intelekt poszukuje z mozolem i za czym próbuje, ostatecznie bez rezultatu, podążać myślą. Od początku posiada wszelką wiedzę, nawet tę tajemną, i stosuje ją w sposób zdumiewająco suwerenny. Rozczłonkowuje się i dzieli samo w regularnych matematycznych proporcjach, potrafi liczyć i operować nieskończenie małym i nieskończenie wielkim lepiej niż największy matematyk, dokonuje skomplikowanych obliczeń, konstruuje maszyny, buduje mieszkania, wytwarza samo z siebie wyrafinowane żywe narzędzia, służących, którzy posłuszni są najłżejszemu skinieniu, mówiąc krótko: pracuje z nieomylną pewnością, opartą na ścisłej wiedzy. Tworzy tkanki, organy, posiada i demonstruje wiedzę anatomiczną i fizjologiczną najwyższej rangi. Wie, gdzie należy umieścić tę czy tamtą komórkę, co mają czynić krew i wątroba, przydziela miejsce pracy i obowiązki płucom. Wreszcie, co nie najmniej ważne, tworzy sobie osobliwy organ, mózg, i jestem przekonany, że gdy go sobie tworzy, podśmiechuje się po cichu. Wie mianowicie: ten organ, wytworzony przeze mnie, uroi sobie za chwilę, że potrafi myśleć sam i samodzielnie, a przecież jest tylko narzędziem, rodzajem zabawki, którą tworzę sobie ja – Ono.

Proszę zwrócić uwagę: Ono istnieje przed mózgiem, tworzy mózg, każe mu myśleć, czyni go do myślenia zdolnym. Ta okoliczność ma dla zrozumienia tego, co mam Państwu do powiedzenia, znaczenie fundamentalne.

Na tym nie koniec. Ono każe powstać sercu, nadaje wszystkiemu formę i kształt. Ono każe nam rosnąć, nabiera ochoty do poruszania się, wyposaża mięśnie i nerwy w stosowne umiejętności i wyznacza im stosowne zadania. Możemy sobie to wyobrażać, jak chcemy – wszystko i tak sprowadza się do jednego: Ono każe nam myśleć, czuć i działać, przeżywa nasze życie. A rzeczą konieczną jest wiedzieć, że obdarza nas świadomością i iluzją Ja, moralnością i zdolnością wypierania. Można skonstruować przeciwieństwo między świadomym i nieświadomym, ale nigdy nie zdołamy skonstruować takiego przeciwieństwa między Ono a świadomością; można przeciwstawić Ja nieświadomości albo popędowi, ale nigdy nie można go przeciwstawić Ono. Albowiem Ono obejmuje świadome i nieświadome, Ja i popędy, ciało i duszę, fizjologiczne i psychologiczne; w obliczu Ono nie istnieją żadne granice między fizycznym a psychicznym. Jedno i drugie to manifestacje Ono, formy, jakie przybiera jego zjawisko.

To Ono buduje wedle starannie opracowanego planu konstrukcyjnego naszą osobę, zaszczenia w niej świadomość, iluzję myślenia i intelektu oraz poczucie Ja, wpaja w nią potrzebę winy i kary, wznosi zarówno kościoły, jak i domki z kart czy napowietrzne zamki, uczy nas kochać i wynajduje narzędzia zabijania – zbadanie tegoż Ono, jego poznanie, to cel przyświecający ogółowi ludzi od najdawniejszych czasów: rzec można, że nie czynili oni niczego innego. Wszelki nasz trud, wszelkie nasze działanie ma za przedmiot Ono, a żeby móc badać je naukowo, metodycznie, musimy się uważnie przyglądać jego manifestacjom, nauczyć się języków, którymi mówi.

Ono nie przemawia jedynie słowem. Każda forma coś wyraża. Duży nos, rozwinięte, wielkie usta, płaski kciuk, wygięcie brwi, ułożenie włosów, sposób jedzenia, picia, oddychania, głębokość snu, postawa ciała, każdy ruch, zapach, jaki wydzielamy, ciepło naszej skóry, ton głosu, różnorodność we wszystkim. Nasze czyny, nasze odczucia, wstręt, miłość – oto rodzaje języków, formy wyrazu Ono. A jedną z tych form wyrazu jest choroba. Choroba fizyczna, będąca zarazem psychiczną, ujawnia nam coś na temat Ono i jego nieświadomości równie wyraziście jak psychiczna, która zawsze jest też fizyczną. I tak jak czynność omyłkowa opowiada nam o wyparciu, jak marzenie senne ukazuje nam kompleks Edypa w tysięcznych postaciach, jak – na rozkaz Ono – nerwica natręctw mówi coś o narcyzmie, a paranoja o homoseksualizmie, tak kołatanie serca, jego wady mówią o wyparciach i kompleksie Edypa, a rak mózgu o wyparciach i o myśleniu, ba, wydaje się nawet, że symptom organiczny przemawia znacznie wyraźniej, w sposób łatwiejszy do zrozumienia, a w każdym razie z większym naciskiem ujawnia pewne treści i przestrogi. Wada serca opowiada zwykle o miłości, jej wyparciach, o poczuciu winy z miłością związanym, choroba żołądka to relacja z głębin duszy, albowiem jej siedzibę Ono przeniosło do brzucha, rak macicy mówi

o grzechach przeciwko obowiązkom macierzyńskim i o tym, że żałuje się dawnej lubieżności, syfilis zaś o zbyt surowej moralności Ono w sprawach płci.

Mógłbym tak opowiadać przez cały dzień, bez wytchnienia i nie popadając w przesadę. Ale po co? Proszę mi pozwolić raz jeszcze podjąć temat wyparcia. Życie składa się z wyparc. By móc postrzegać, musimy wyprzeć większą część tego, co widzimy, co słyszymy, co czujemy węchem i dotykiem. By się poruszać, też musimy to czynić, wciąż musimy wypierać, by nasza krew krążyła właściwie, abyśmy mogli myśleć, zapadać na choroby i powracać do zdrowia. Nie czynimy niczego i nic nam się nie przydarza bez wyparcia, a wypieramy to, co wyprzeć chce Ono. Ono stosuje wyparcie na obszarze psychiki, by tworzyć kompleksy psychiczne, albowiem uważa je za celowe, posługuje się nimi równie często – a może częściej – by wywoływać zjawiska psychiczne, na przykład by odebrać komuś wzrok, ponieważ szkodzi on psychice albo by tę psychikę uczynić niezdolną do postrzegania, gdyż postrzeganie byłoby szkodliwe dla oka. Tylko tyle i aż tyle.

Skoro to Ono stwarza wszystkie choroby z rozmysłem i w określonych celach, jeśli choroba jest manifestacją funkcji Ono, to wszelkie leczenie winno za swój cel obierać sprawcę zachorowania, a więc właśnie Ono.

Mówię tu rozmyślnie o „sprawcy”, ponieważ w moim przekonaniu to nie bakcyl gruźlicy jest sprawcą tej choroby, lecz jedynie narzędziem, za pomocą którego Ono czyni się chorym na gruźlicę. To Ono decyduje o tym, że jakiś patogenny mikroorganizm rzeczywiście staje się patogenny albo nie, że zakażenie wirusem szkarlatyny rzeczywiście do szkarlatyny doprowadzi albo że wirus zostanie unieszkodliwiony; Ono decyduje, że przy upadku kość ulega złamaniu albo nie. I podobnie jak decyduje o zachorowaniu, tak samo decyduje o wyzdrowieniu. Zdrowie jest bowiem również sposobem manifestowania się Ono. I tak jak czyni ono sobie jakiś składnik swego otoczenia przyczyną choroby, tak – gdy pragnie wyrazić swą istotę przez powrót do zdrowia – w tym samym otoczeniu wyszukuje sobie coś, co stanie się narzędziem wyzdrowienia. Ono leczy się samo.

Wyszukuje wśród lekarzy – zarówno wśród zatwierdzonych urzędowo, jak i znachorów – takiego, którego może wykorzystać, a z tego, co wszyscy oni wiedzą, wybiera sobie to, co jest mu użyteczne w jego dążeniu do zdrowia. Raz będzie to zabieg chirurgiczny, raz digitalis, gorące kąpiele, prąd elektryczny, zmiana klimatu, sugestia albo analiza. Lekarz nie zdoła uczynić nic innego jak tylko możliwie uważnie wsłuchiwać się w mowę Ono, w jego sposób wyrażania się w sferze cielesnej i duchowej, zgadywać, czego pragnie i oferować mu to, co odgadł. Ono decyduje, poddaje wszystko egzaminowi i zachowuje to, co najlepsze. Postępuje przy tym jak komórka, która otoczona różnymi pożywkami, samodzielnie wyszukuje te, których jej trzeba.

Nie istnieje zatem leczenie błędne ani prawidłowe jako takie; to Ono czyni je błędnym albo prawidłowym. To i tylko to wyjaśnia, dlaczego większość chorób mija bez pomocy lekarza, a częściej kończą się one szybciej, gdy ich leczeniem

zajmuje się pierwszy lepszy owczarz, lunatyk czy oszust-magnetyzer, niż gdy czyni to profesor uniwersytetu.

Co to wszystko ma wspólnego z psychoanalizą? Sądzę, że bardzo wiele. Psychoanaliza jest – w tym momencie z całą pewnością, a w przyszłości prawdopodobnie – najważniejszym narzędziem diagnostycznym i najskuteczniejszą metodą terapeutyczną, jaką dysponujemy. Konieczne jest jedynie, by rozszerzyła swój obszar działania albo raczej by otwarcie i uczciwie wyznała, że jej przedmiotem nie jest już tylko, jak wskazuje na to przedrostek „psycho” w jej nazwie i jak to było rzeczywiście na początku, psychika, to, co w znaczeniu potocznym i naukowym psychiką się zwykle nazywa – po cichu wyznania tego dokonała zresztą już dawno. Albowiem od momentu, w którym w polu jej widzenia pojawiło się życie przed powstaniem Ja, a więc przed ukończeniem przez dziecko trzech lat, momentu, w którym głównym przedmiotem analizy stały się poród, czas przed porodem, w macicy, wreszcie w ogóle nieświadomość, wyparcie, chodzi już nie tylko o analizę tego, co do tej pory nazywano psychiką, lecz także o nowe pojęcie tejże, o psychikę, która może posługiwać się mózgiem albo, nie uruchamiając go wcale, działa bezpośrednio, wegetatywnie, która od mózgu jest niezależna, ba, która istniała, zanim powstały mózg i świadomość, która ów mózg zbudowała. Psychoanaliza jako forma diagnostyki zawsze badała całą psychikę, także tę poza mózgiem i świadomością. Psychoanalityk, który zwraca uwagę na obstrukcję, czerwienienie się, gwałtowne bóle, zaniki widzenia – a zwraca na to uwagę każdy – dokonuje gwałtu na własnym myśleniu, jeśli nie słucha i nie interpretuje również języków, którymi przemawiają szkarlatyna, rak, suchoty: jeśli tego nie czyni, sam dokonuje wyparcia.

Przyczyny takiego wypierania są dostatecznie wyraźne. Nic to jednak nie pomaga. Wyparte kruszy kajdany. Kto zaś czyta dzieło Freuda uważnie, bez uprzedzeń i nie zważając na jego własne wyparcia, zauważy natychmiast, że przez psychikę rozumie on to samo co ja: formę, w jakiej przejawia się życie, nie system „świadomego”, pojmowany do tej pory jako psychika, lecz właśnie system „nieświadomego” oraz Ono, sprawujące suwerenną władzę nad nimi oboma. Freud wie, że ta psychika nie jest w żadnym razie przeciwieństwem fizyczności, lecz jedynie inną formą życia. By się tego dowiedzieć, nie potrzeba jego ustnej deklaracji, da się to wyczytać z każdego słowa, które opublikował. Nie istnieje dlań żadna granica między ciałem a duszą, podobnie jak nie istnieje ona dla mnie czy dla kogokolwiek innego. Jego profesja specjalisty neurologa sprawiła wszelako, że nazwał rzeczy inaczej, na swój użytek trafniej, ograniczając się pozornie do obszaru nerwicy i psychozy. W rzeczywistości jednak Freud wierzy w Ono, jak wierzy w nie i wierzyć musi każdy, jak każdy wierzył i wierzyć będzie.

Całkiem inne znaczenie ma słowo „psychoanaliza”, gdy pojmuje się ją jako metodę terapeutyczną. Wówczas obejmuje ono i może obejmować wyłącznie świadomość i nieświadomość, o ile ta ostatnia jest zdolna do stania się świadomością, to znaczy psychoanaliza obiera za narzędzie, by dotrzeć do Ono chorego,

jego mózg, jego myślenie i odczuwanie. Wszystko daje się psychoanalitycznie badać, ale nie wszystko psychoanalitycznie leczyć. Zapewne psychoanaliza winna jako terapia nie tylko interpretować, co chory mówi, lecz także, co czyni, i nie tylko, co czyni, lecz także, czym jest. Jeśli posługuję się tutaj wyrażeniem „psychoanaliza interpretuje”, to muszę natychmiast dodać, że operacji analitycznych w terapii dokonuje chory, nie zaś lekarz, że zatem również chory, nie tylko lekarz, winien interpretować. Jeśli lekarz, w istocie wyjątkowo, jest zmuszony dokonywać interpretacji, czyni to w formie propozycji, przy czym zawsze winien pozostawać świadom niebezpieczeństwa, że chory prawdopodobnie z jego interpretacji uczyni sobie narzędzie oporu. Im częściej próbowałem sobie uświadomić, na czym polega istotna różnica między moją techniką terapii a technikami innych psychoanalityków, dochodziłem do wniosku, że większą wagę przykładam do symptomów w najszerszym tego słowa sensie, że często przerywam ciąg wolnych skojarzeń i każę choremu powrócić do symptomu lub symptomów, że z drugiej strony jednak prawie nigdy nie interpretuję – czynię to co najwyżej w przypadku skrajnej konieczności. To chory ma, zgodnie z moim przekonaniem i moją praktyką, dostarczać interpretacji i jej dostarcza, niekiedy wszelako interpretacji zamierzenie fałszywej. Pod tym względem moja terapia przypomina procedurę poszukiwania szpilki z zawiązanymi oczyma. Kto kiedykolwiek tego próbował, wie, że szpilkę znajduje się nieomylnie, gdy uda się utrzymać przy niej uwagę tego, kogo trzyma się za rękę, kierując się przy tym oporem, który się w trzymanej ręce wyczuwa. Każdy wszak wie, że terapia psychoanalityczna jest terapią oporów. Rezultat jest zresztą w moim wypadku dokładnie ten sam co u innych, chorzy sami z siebie powracają do najwcześniejszego dzieciństwa, ponieważ w odniesieniu do symptomu, jeśli nie zawęży się tego pojęcia, ważność zachowuje twierdzenie o przymusie powtórzeń; niepozorne zapalenie gardła ma swoje korzenie – tak samo jak nerwica – w wydarzeniach, wyparciach, przemyśleniach oraz konfliktach dzieciństwa o charakterze duchowym i cielesnym: świadomych, nieświadomych i zdolnych bądź niezdolnych do przeniesienia w świadomość. Uważam również za przesąd, że tak wielu psychoanalityków unika badań fizycznych, wskazanych przez naukę i doświadczenie, obawiając się równoczesnej terapii fizycznej. Dla rezultatów terapii nie jest to z pewnością korzystne, także w terapii nerwic. Wiadomo mi, że badanie to miecz obosieczny, że wyrządza się nim nieskończenie wiele szkód, ale psychoanalityk wie przecież, że wszystkie emocje, pochwały i wyznania miłosne, jakie chory nam prezentuje, to kłamstwo i ułudą, wymyślone w celu wzmocnienia oporów. Jeśli w ogóle ktoś potrafi przeprowadzić nieszkodliwe badanie, to właśnie on. Ale nawet w wypadku psychoanalizy jako naukowej metody badawczej jest błędem – używam celowo i z pełną świadomością, że wywołam tym zgorzenie, ostrego słowa „błąd” – zasadnicze zaniedbywanie diagnostyki fizycznej. Miało to sens, gdy celem było położenie fundamentów psychoanalizy. Gdy jednak Freud już to raz uczynił i niczego na tym obszarze nie pozostawił nam bez

wyjaśnienia, nie pojmuję, dlaczego wciąż jeszcze postępujemy tak, jak gdyby było naszym zadaniem sprawdzenie prawdziwości jego dokonań albo wręcz jakbyśmy wszyscy mieli zostać Freudami. Obserwacja i analiza symptomu cielesnego – przeprowadzone przez chorego – mają również dla nauki o nerwicach znaczenie nieocenione.

W dwóch słowach chciałbym się jeszcze zwrócić do kręgów niereprezentujących profesji psychoanalityka. Chciałbym im – zresztą także analitykom w ich osobliwym, dobrowolnym i pilnie strzeżonym odosobnieniu – poddać pod rozwagę pytanie, czy nie nadszedł już czas, by chirurgię, okulistykę i otolaryngologię, a także specjalizacje medyczne zajmujące się krtanią, skórą i syfilisem przyłączyć do obszaru działania analizy. Jestem przekonany, że również tam da się osiągnąć podobne sukcesy terapeutyczne jak w dziedzinie nerwic oraz interny, a może nawet sukcesy jeszcze większe; że tak wychwalana ścisła nauka dokona nieocenionych odkryć i że wyjdą one na dobre poznaniu nerwic. Co prawda fakt, że wszystkie te dyscypliny ignorują to ogromne wzbogacenie diagnostyki medycznej i terapii, jakiego dokonał Freud, nie wystawia moim zdaniem zbyt pochlebnego świadectwa ani ich naukowemu instynktowi, ani ich naukowej pasji.

Pozwolą państwo, że na koniec kilka słów poświęcę Freudowi. Porównywano jego dokonania – odkrycie nieświadomości, oporu i przeniesienia – z odkryciami Kopernika. Dla uczonych może to być porównanie użyteczne. Dla nas, ludzi, uczynił jednak więcej. Odkrył, że obok ludzkiego języka dźwięków i gestów istnieje sto innych języków, tysiąckrotnie ważniejszych i prawdziwszych, środków porozumiewania się ludzi między sobą, przybliżających człowieka do człowieka. Freud uczynił coś, co w dziejach świata da się porównać jedynie z działaniem twórców nowych religii, jeśli już musi się czynić takie porównania. Wskazał ludziom nowe drogi wzajemnego zrozumienia, zbliżył ich do siebie nawzajem, przerzucił tysiące mostów nad przepaścią oddzielającą człowieka od człowieka, dał tym, którzy podążają za nim, nowe, głębsze, radośniejsze dziecięce życie, nowy rodzaj miłości i nowy rodzaj wiary. Wiedza to wątpienie, wiara to wątpienia brak. Na obszarze nauki Freud zmusił nas do wątpienia w całą posiadaną przez nas do tej pory wiedzę i do jej starannego sprawdzenia. W sferze czysto ludzkiej dał nam wiarę: wiarę w człowieka obok nas. Pogłębiając zarazem naszą zdolność poznawania się, która bezwarunkowo i sama z siebie przywodzi nas ku większej miłości do ludzi i większego dla nich szacunku, osłabia przymus posługiwania się kłamstwem, daje możliwość większej swobody życia, zmniejsza lęk. Jestem szczęśliwy, że go poznałem.

Przełożył Tadeusz Zatorski